

Nie wszystko złoto, co się świeci

Autor: Jan Lewiński

Wojny walutowe

Zakończona przed miesiącem konferencja ministrów finansów i prezesów banków centralnych G20 nie przyniosła konkretnych rezultatów poza złożonymi przez wszystkie kraje uczestniczące w niej mglistymi obietnicami „powstrzymania się” od prowadzenia dotychczasowych wojen walutowych.

W międzyczasie kraje takie jak Chiny i USA oskarżały się wzajemnie o dewaluowanie własnych walut, co miało na celu otwarcie przed rodzimymi eksporterami źródła nieprzebranych bogactw i umożliwiało państwom szybsze gromadzenie rezerw walutowych. Oba te rezultaty mają być, zdaniem wszystkich zainteresowanych, jednoznacznie pozytywne, ponieważ z jednej strony poprawiają pozycję krajowych producentów dóbr eksportowych, a z drugiej pozwalają państwom na prowadzenie bardziej elastycznej polityki monetarnej.

Dlaczego kraje protestują przeciw prowadzeniu tak zbawiennej polityki? Otóż powszechnie uznaje się, że musi być ona szkodliwa dla innych państw uczestniczących w „grze rynkowej”, bo zniżenie kursu juana względem USD powoduje oczywiście zawyżenie kursu USD względem juana. W takiej sytuacji przegrywają eksporterzy amerykańscy, co zgodnie z tą teorią musi się negatywnie odbijać na wzroście gospodarczym USA.

Inflacjonizm współczesnych państw

Cała ta kłótnia o kursy jest pokłosiem inflacjonistycznej polityki większości państw współczesnego świata, na czele z przodującymi ostatnio w tej dziedzinie Stanami Zjednoczonymi — Ben Bernanke, szef Fed, dodrukował niedawno 600 mld dolarów. Dodruk dolara z jednej strony ma bezpośrednio stymulować gospodarkę, a z drugiej osłabić jego kurs względem innych walut. Rezultatem ma być podwójne wzmocnienie amerykańskich producentów, zarówno tych eksportujących, jak i tych produkujących na rynek wewnętrzny. Nikogo z decydentów nie odstręcają niepowodzenia poprzednich planów —

wszak zawsze można powiedzieć, że [wpompowane w gospodarkę USA miliardy dolarów to zbyt mało](#).

Te rzekomo pozytywne skutki mają jednak swoją drugą stronę, rzadko zauważaną przez polityków oraz przedstawicieli władz monetarnych: olbrzymi dług publiczny i wybuchy baniek spekulacyjnych na nadmuchanych pustymi pieniędzmi rynkach finansowych, co doprowadziło do ostatniego kryzysu. To właśnie rozrost rynku kredytowego pompowanego tanim pieniądzem wywołał zapaść systemu finansowego na całym świecie.

Taka sytuacja nie jest bezpieczna nawet dla polityków korzystających z taktyki taniego kredytu, która umożliwia prowadzenie ekspansywnej polityki wydatków budżetowych, finansujących przedsięwzięcia takie jak wojna w Iraku.

Złota obietnica

Niektórzy politycy zdają się traktować to zagrożenie poważnie. Kilka tygodni temu jeden z prominentnych polityków zachodnich, Robert Zoellick, prezes World Bank Group i pracownik Departamentu Skarbu USA w latach 80., [zapropował](#) rozsądne na pierwszy rzut oka rozwiązanie w postaci stworzenia światowego systemu monetarnego, w którym polityka pieniężna byłaby w *jakimś* stopniu uzależniona od złota jako wskaźnika rynkowych oczekiwań co do poziomu inflacji, deflacji i antycypowanej wartości walut. Wielu komentatorów odebrało tę propozycję jako chęć wprowadzenia jakiejś postaci standardu złota, co urealniałoby szybujący w przestworzach poziom wartości pustego obecnie pieniądza. Niestety, te nadzieje należy czym prędzej zgasić w zarodku.

Po pierwsze, Zoellick w żaden sposób nie konkretyzuje swojej propozycji, może więc mówić albo o stuprocentowym standardzie złota, co raz na zawsze zakończyłoby czasy taniego pieniądza, albo o bardziej „miękkim” projekcie, podobnym do uzgodnień z Bretton Woods. Ten ostatni system umożliwiał politykom zakulisowe manipulowanie poziomem podaży pieniądza przy jednoczesnym formalnym utrzymaniu parytetu dolara, jako waluty bazowej dla innych światowych walut, do złota. Skutkiem była dewaluacja dolara, co przy sztywnym kursie musiało zakończyć się drenażem rezerw złota i w ostateczności doprowadziło do spektakularnej porażki uzgodnień z Bretton Woods w 1971 roku, gdy Richard Nixon ogłosił *de facto* jednostronne zerwanie złotych zobowiązań USA względem wszystkich innych państw.

Po drugie, za tą propozycją mogą stać interesy wpływowych lobbystów zmierzających do wprowadzenia takiego międzynarodowego reżimu monetarnego, który raz na zawsze (przynajmniej w sferze intencji) zakończyłby wojny monetarne. Byłoby to z korzyścią dla tych, którzy wynegocjowaliby najwięcej w momencie jego tworzenia.

Podejdźmy zatem do podobnych propozycji z należytą rezerwą, pamiętając, że za propozycjami polityków zawsze może się kryć skomplikowana gra interesów toczona o powiększenie wpływu na gospodarkę przeciwnika.